

Pięć płyt na pogodową chandré

Z tą pogodą w Polsce można zwariować. Od listopada do kwietnia aura potrafi być po prostu okropna. Podobnie jak nasze humory. Na nic kabriolety i koszulki polo. Producenci aluminiowych tacek do grilla mają przestój, a dzieci wolą grać na konsoli, zamiast fikać na trzepaku.

Michał Dziadosz

Kiedy święta i sylwester już za nami, w perspektywie mamy trzy najgorsze miesiące; poza listopadem, bo ten to już w ogóle powinien być zabroniony. Niby karnawał, niby dzień coraz dłuższy, ale i tak mogłoby ich nie być w kalendarzu. Najciemniej jest jednak tuż przed świtem. Marzec bywa tak piękny, jak i zdradliwy. Dlatego – nim wiosna wystrzeli kolorowymi działami – pocieszajmy się dobrą muzyką.

Kluczem doboru sugerowanych albumów nie jest ani kryterium „miłego jazziku”, ani „pozytywnych wibracji”. Chodzi raczej o zestrojenie się z paskudną aurą za oknem i uczynienie z niej gruntu pod piękne i dobrze nastrajające dźwięki. Później będzie już tylko lepiej.

Stan Getz, Joao Gilberto, Antonio Carlos Jobim Getz/Gilberto (1964)

W świecie melomanów ten album to oczywistość, ale może się zdarzyć, że któryś z młodszych czytelników nie wie o jego istnieniu. Jest to płyta ważna. Dla niektórych niemal tak ważna, jak „Kind

of Blue” Milesa Davisa czy „Blue Train” Johna Coltrane’a. Ale w kontekście tego zestawienia jest to rzecz przede wszystkim piękna i klimatyczna. Nie słucha



się jej tak dobrze latem jak zimą. Jej ciepło, naturalność i charakterystyczny groove sprawiają, że chciałoby się tę paskudną aurę za oknem na chwilę zatrzymać, bo stanowi świetne tło dla tej muzyki.

Twórcy prawdopodobnie nie spodziewali się takiego sukcesu, stąd realizacja jest... swobodna. Plany czasem na siebie zachodzą, a bywa, że saksofon Stana

Getza ryczy zbyt blisko. Jednak m.in. właśnie owa naturalność sprawia, że chcemy z tym albumem zostać na bardzo długo.

Wokalistka Astrud Gilberto, która wówczas była żoną Joao (gitara i śpiew), jest tu ozdobą i wykonawczynią dwóch największych hitów: „The Girl from Ipanema” i „Corcovado”. Dzięki jej słodkiemu głosowi i „brazylijskiemu” akcentowi śpiewane po angielsku frazy stają się egzotyczne i cudowne. Większość utworów nagrano jednak po portugalsku – w części lub w całości.

Tę płytę trzeba znać. Mało tego – powinno się ją mieć! To właśnie ona sprawiła, że melomani lat 60. XX wieku oszaleli na punkcie bossa novy. Dobrze, że w dzisiejszym zwariowanym świecie można jeszcze sięgnąć do takich dźwięków.

ABC

The Lexicon of Love (1982)

Coś dla miłośników bardzo dobrego popu, a także new romantic z elementami klasycznego disco. Ta płyta rozświetla przednówkowe mroki powoli. Utwory są zgrabne i melodyjne, ale nie nachalne. Trzeba nieco przyzwyczaić umysł do tych struktur i fraz. Pozornie wydają się zbyt miękkie i archaiczne, ale wystarczy dać im trochę czasu, by stały się naturalną częścią naszego dźwiękowego krajobrazu.



Geneza tego albumu nie jest specjalnie porywająca, mimo wyraźnie zarysowanego konceptu w warstwie tekstowej. Męskie liryczne „ja” wędruje przez różne etapy wspomnień, próbując przejść autoterapię i uleczyć złamane serce.

„New Musical Express” uznał tę płytę za jedno z najważniejszych wydawnictw lat 80. XX wieku, a magazyn „Q”

umieścił ją w pierwszej setce albumów wszech czasów. Największym hitem jest bez wątpienia „The Look of Love”, w Polsce bardzo znany dzięki Markowi Niedźwieckiemu, który przez lata wykorzystywał go jako tło swojej listy przebojów. Nie jest to jednak najlepszy kawałek na albumie, a jedynie najbardziej zwarty i przebojowy. Z tych mniej docenionych, ale wspaniałych, warto wymienić (wcale nie singlowe) „Many Happy Returns” czy „Date Stamp”. W obu słyhać nie tylko piękne melodie i niebanalne teksty, ale znać także rękę producenta. Jest nim Trevor Horn. Ten sam, który wystąpił na płycie „Drama” zespołu Yes. Ten sam, który zaśpiewał słynny hit „Video Killed The Radio Star”, ale nade wszystko wślawił się ulepszaniem brzmień takich wykonawców, jak: Mike Oldfield, Paul McCartney, Seal, Grace Jones, Genesis, Tina Turner, Pet Shop Boys i wielu innych. Na krążku ABC słyhać także pewne patenty, które później ozdobiły „Welcome to The Pleasuredome” Frankie Goes to Hollywood. Ogólnie raczej brak analogii między tymi dwoma zespołami, ale oba miały brzmienie świeże i wpadające w ucho właśnie dzięki Trevorowi Hornowi.

Warto odnotować, że w roku 2016 wyszła druga część „The Lexicon of Love”, więc proszę się nie pomylić przy poszukiwaniach. To bardzo udana płyta, ale o niej kiedy indziej.

Europe Out of This World (1988)

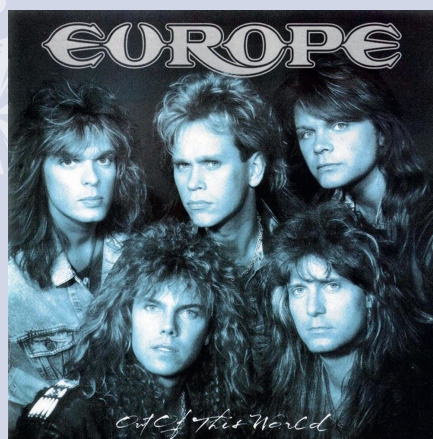
Coś dla miłośników hardrockowego manieryzmu z sercem. Dlaczego manieryzmu? Bo Europe nie odkrywa na tej płycie niczego nowego, za to bawi się formułą rockowo-metalową. Szwedzi są świadomi faktu, że wszystko już było, więc przede wszystkim trzeba się pewnie czuć na scenie i z uczuciem opowiadać swoje historie. Zorientowani fani dobrze wiedzieli, że cała ta tapirowo-skórzana maskarada trąci kiczem. Ale można próbować przed nim uciekać, udając, że nas nie dotyczy, a można go pokochać. Wiedzieli o tym też panowie z Europe, którzy swobodnie żonglowali patentami i schematami.

Nie oznacza to, że Joey Tempest i spółka odgrywają parodię. Raczej że w odważny, ale kulturalny sposób nawiązują do swoich starszych kolegów po fachu: Deep Purple, Rainbow, Led

Zeppelin czy Journey i ubierają dobrze znaną gramatykę w inny słownik.

To przebojowa, spójna i naprawdę niezłe nagrana muzyka. No dobra, bębny są tak wygładzone, że brzmią prawie jak w Kombi, ale w końcu to były lata 80. Wszystko wtedy kąpano w chemicznych przestrzeniach. Rockowy zespół musiał mieć w składzie syntezator, a przynajmniej... mieć bardzo chciał! Wokal musiał być puszczony przez miliard kompresorów, jeszcze więcej efektów i galaktyczny pogłos. Wokalnie Joey Tempest był maszyną do zabijania, choć ortodoksyjni metalowcy na imprezach krzyczeli: „Wyłączcie to disco!”.

Rozjechana przez krytyków, średnio zrozumiana przez fanów po prostu bardzo dobra płyta. Może nie ma na niej killerów, jak „The Final Countdown”, ale jako całość jest równa i atrakcyjna.



Po największych sukcesach z roku 1986 zespół postanowił potraktować swych miłośników... z szacunkiem. Miał podążyć w stronę jeszcze większej komercji, wybrał drogę chwały, choć (niestety) niekoniecznie także i sławy. Świadczą o tym recenzje negujące ten album oraz niemal całkowity brak świadomości jego istnienia wśród sympatyków muzyki rockowej. Nie wiem, czy wiecie, ale zespół, po reaktywacji w 2004, gra do dziś i ma się niezłe. Nagrywa dobre płyty, choć mainstream nie ma o nich pojęcia. Ostatnią, „Walk the Earth”, wydał w 2017 roku.

Pedragon The Window of Life (1993)

Ta płyta przenosi w krainę ekscytującej, onirycznej baśni dla dorosłych. Świetnie się przy niej zasypia.

Rock progresywny Pedragona nie ma nic wspólnego ani ze współczesnymi łupankami tysiąca dźwięków na sekundę, ani ze staroświeckimi strukturami nagrań klasyków. To znaczy, konstrukcje są podobne jak u Floydów, King Crimson czy Genesis, ale aranżacje i barwy – wolne od surowości. To stonowana i dobrze rozpisana formuła, w której nie brakuje interesującej gry odległych planów i rockowego kopniaka. Każdy, kto lubi Pink Floyd, usłyszy delikatne nawiązanie do „Shine on Crazy Diamond” już w pierwszym utworze. A potem jest nawet lepiej.

Skład jest skromny i prosty: doskonała sekcja rytmiczna, bogate klawisze



plus śpiewający gitarzysta. Na pierwszy rzut ucha to właśnie ten ostatni stanowi największy atut zespołu. Barwa wokalu to taka mniej krzykliwa i bardziej muzyczna wersja Geddy'ego Lee z Rush. Gitara to pastelowy i miękki Fender Stratocaster, nieco nawiązujący do gry Davida Gilmoura, ale technicznie o wiele bardziej sprawny. Wiem, że napisałem właśnie rzecz straszną, za którą fani Pink Floyd będą mnie ścigać po ulicach, ale to prawda.

Wracając do Pedragona, w tę muzykę trzeba się wkręcić. Nie porwie przy pierwszym przesłuchaniu ze Spotify.

Nowe e-wydanie z aplikacją mobilną.

e.hfm.pl

Koszt rocznej prenumeraty wynosi 49,00 zł.

Magazyn możesz czytać online i offline
(w samolocie, poza zasięgiem – na wakacjach).



PS AUDIO



MISTRZOWSKA ELEKTRONIKA



DirectStream Memory Player
(Stereophile Class A+)



DirectStream DAC
(Stereophile Class A)



BHK Signature 300
(Stereophile Class A)

MISTRZOWSKIE ZASILANIE



Dectet



PerfectWave Power Plant P10

Tworzące album kompozycje zostały doskonale ułożone. Przynajmniej w oryginalnej wersji, bo późniejsze remastery, od roku 2006, zawierają utwory dodatkowe. Zupełnie bez sensu, ponieważ pierwotnie zamykający płytę „Am I Really Loosing You” to klejnot i najlepsze z możliwych zakończeń.

Płyta, jak na tamte czasy, brzmi dobrze, choć jej budżet nie dorównywał najdroższym produkcjom. Na pierwszy plan wysuwają się tu liryzm tekstów i ogólna muzykalność. Był to już czwarty pełny album w dyskografii Pendragona, ale przygodę z muzyką zespołu warto zacząć właśnie od niego. Stanowi bowiem połączenie profesjonalizmu i pierwiastka czegoś nieuchwytnego, pięknego i szalonego. „The Window of Life” powinna być żelazną pozycją nie tylko na półce fana rocka progresywnego.

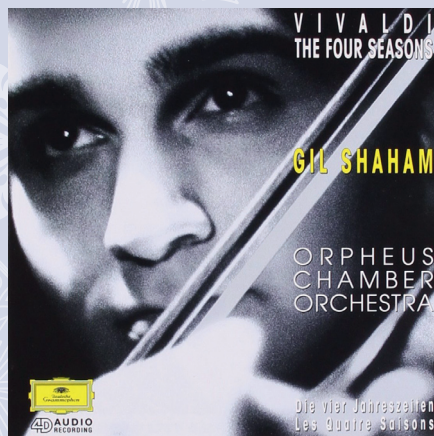
„Rock dla marzycieli”, jak to z humorem i sympatią określili mój znajomy śpiewak operowy. A ja, między innymi właśnie dzięki tej płycie, marzycielem się stałem.

Gil Shaham **Vivaldi: The Four Seasons** (1995)

W świecie muzyki poważnej zdarzają się płyty, które powinni znać nawet ci, którzy nie chadzają do filharmonii.

Pierwsza reakcja na pomysł Shahama była mocno spolaryzowana. Jedni zachwycili się nowatorskim wykonaniem. Inni je odrzucili, nazywając skrzypka „obrazoburczym dekonstrukcjonistą”. Amerykański wirtuoz wziął na warsztat jedno z najsłynniejszych dzieł w historii muzyki. I, zdaniem wielu, zniszczył je. Nie była to pierwsza nowoczesna interpretacja „Czterech pór roku”. Wcześniej zdarzały się znacznie bardziej szalone i demontujące. Jednak to właśnie wykonanie Shahama w połowie lat 90. XX wieku najbardziej podzieliło melomanów.

Minęły lata. Opinie krytyków wyblakły, a wspaniałe dźwięki pozostały. Shaham stał się szanowanym muzykiem, startującym odważnie do szerokiego repertuaru.



Jego „Cztery pory roku” to kompromis pomiędzy tym, co stare, dostojne i tradycyjne, a tym co młode, ogniste i niepokorne. To wykonanie to nie tylko fajerwerki (choć wielu się na Shahama obraziło, ponieważ precyzyjnie zagrał dźwięki, których wcześniej nie

było słyszeć). Przede wszystkim warto zwrócić uwagę na obecne tu liryzm i niebywałą wrażliwość. No i Orpheus Chamber Orchestre, która nie boi się, nie czai pod presją instrumentalisty, tylko tnie powietrze wraz z nim: odważnie, czasem groźnie, czasem rozkosznie. Jeśli ktoś zaczyna przygodę z tego typu muzyką, omawiane wydawnictwo jest wprost idealne. Jeśli ktoś uważa się za znawcę i nie zna Gila Shahama – powinien to prędko nadrobić.

„Cztery pory roku” porządkują rzeczywistość. Uczą pokory i dystansu. A w tak doskonałej interpretacji pięknie podkreślą najbardziej słoneczną wiosnę, ale i najgorszą mroźną zawieruchę. Z taką „Zimą” nawet zima bywa piękna.



Audio System

Warszawa, tel. 22-662-45-99
www.audiosystem.com.pl